

Maciej Kalarus

Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej, Warszawa

Uniwersytet Śląski, Katowice

Szyba – rzecz o Kapuścińskim, na marginesie *Kapuściński non-fiction*

*...zrozumienie wymaga przemyśleń,
a przemyślenia – czasu...¹*

Kiedyś jechałem samochodem, a przede mną włókł się inny osobowy pojazd. Wąska ulica w mieście nie pozwalała wyprzedzać. Wysokie krawężniki, dziury, zakręty i łuki. Ruch z przeciwka tamował jazdę, a samochody za mną to trąbiły, to brały się do wyprzedzania, by po chwili nieudanej próby schować się ponownie w pokornym szyku. Każdy był przez to spóźniony kilka minut. Nic nie dawały mrugnięcia światłami i kolejne klaksony. Kierowca przed nami jechał powoli, niczym żałobny kondukt. Cały czas trzymał nogę na hamulcu. Gdy w końcu udało się go wyprzedzić, niemal każdy, gestykulując, pokazywał mu palcami międzynarodowe znaki lub pukał się w czoło. Dźwięk trąbienia był jak muzyka – jednak ta zdawała się nie docierać do uszu zapchajdrogi. Kurczowo trzymał oburącz kierownicę, wpatrywał się w drogowe przedwiosenne dziury i jechał swoim torem. Do swojego celu. Nie reagował na nieme usta, które zza szyb wyprzedzających go aut mówiły wyraźnie, co o nim myślą.

Dwa tygodnie później kupiłem w sklepie wymarzony stolik. Prosta konstrukcja składała się z drewnianego stelaża i blatu, który był piękną, przezroczystą szybą. Pod magazynem spakowałem do bagażnika rozkręcony stelaż, natomiast szybę ostrożnie włożyłem między przednie i tylne siedzenia, zapierając ją u dołu resztką pakowego kartonu. I ruszyłem przez miasto. Dwadzieścia na godzinę. Powoli, jak tylko można. Cały

¹ Artur Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010, s. 490.

czas hamując, omijałem wiosenne dziury i wyrwy w drodze. Nawet nie myślałem o zmianie biegów. Trzymałem dziarsko kierownicę i prawie z nosem na przedniej szybie wypatrywałem większych kolein i uskoków. Co chwilę zwalniałem do zera: na wybojach boki mojej przezroczystej szyby objęły się o tylne drzwi. Kołysała się w prawo i w lewo, do przodu i do tyłu. Już po pierwszym kilometrze zaczęły do moich uszu docierać dźwięki znajomych klaksonów. Na wąskiej, dwukierunkowej drodze, nikt – żadnym sposobem – nie mógł mnie wyprzedzić. Zanim ruszyłem ze świateł, widziałem w lusterkach mrugnięcia reflektorów i wymowną gestykulację kierowcy, który jako pierwszy utknął za mną.

No ale przecież wiozłem szybę! I wtedy dotarło do mnie, że tej szklanej tafli nikt w moim samochodzie nie widzi: *że to nie jest tak, jak wszyscy myślicie, że jadę powoli, bo coś tam, coś tam*. Każde przyspieszenie groziło pęknięciem mojego wymarzonego blatu, ale i także porysowaniem tapicerki bocznych drzwi. Na jednym z nieostrych łuków zobaczyłem za mną, w pięknym wiosennym słońcu, około dwudziestkę osobowych i dostawczych samochodów ze sfrustrowanymi kierowcami. Czasem komuś udało się mnie wyprzedzić, nie oszczędzając międzynarodowej sygnalizacji palcami, z trąbieniem włącznie. Raz czy dwa starałem się wycedzić: *w i o z e s z y b ę g a m o n i u* – ale nie byłem w żaden sposób rozumiany. Gdy w końcu, po godzinie, podjechałem pod dom, przypomniałem sobie sytuację sprzed kilku tygodni. Może tamten kierowca też wiozł szybę – swoją jedyną i wymarzoną szybę? Dziś, gdy na drodze ktoś jedzie bardzo powoli, nad wyraz powoli, że aż jego tylne światło stopu mnie razi, to sobie wtedy myślę: *może wiezie szybę? Pewnie tak. Z pewnością wiezie szybę...*

Kilkanaście lat później ktoś mi powiedział: *nie pisz o nim. Kiedyś będziesz tego żałował. Będziesz z tego powodu miał kłopoty. Wyciągną ci to*. Fakt – Kapuściński by nie napisał. Zszedłby z linii strzału. Ustąpiłby miejsca psom targającym nogawki. „A poza tym, proszę pana, Kapuściński nie był żadnym gorliwym współpracownikiem, jak dzisiaj piszą niektórzy, tylko mistrzem uników!”² Kapuściński by przemilczał. Nie wdawałby się w polemikę, w żadną dyskusję, która w perspektywie kolejnych miesięcy i lat mogłaby przynieść mu kłopoty. Swoje wiedząc, robiłby dalej swoje – bez personalnych utarczek i dwuznaczności. Można by rzec: dla świętego spokoju. „Uśmiechem rozbrajał świat, który mógł go skrzywdzić”³. Wydaje się, parafrazując, że był jakby świadom, że wiezie szybę...

Kwiecień 2010. Sam nie wiem, od czego zacząć. Po sześciuset stronach przeczytanych i przewertowanych kilkakrotnie, pokreślonych notatkami, potrzeba czasu, by złapać dystans, spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Drugą i trzecią książkę można byłoby napisać na Domosławskiego marginesach. Tak czy owak mówimy wszak o dwóch

²Tamże, s. 506.

³Tamże, s. 12.

różnych porządkach, które kilka razy dziennie, tydzień w tydzień, od kilkudziesięciu dni, we wszystkich niemal mediach, są mylone z taką namiętnością, jakby autor Cesarza właśnie wstał z grobu. Jest porządek wydanej biografii spisany ręką dziennikarza, i jest porządek życia Ryszarda Kapuścińskiego. Mowa więc o książce o Kapuścińskim, czy też mowa o Kapuścińskim samym? – bo wtedy książka o nim będzie jedynie uzupełnieniem, jednym z objaśnień, z którym możemy się zgadzać, lub nie. To dwa różne porządki. Trochę jak dwie różne drogi do tego samego celu, ale jednak różne i inne od siebie. Czy więc mówimy o książce, czy też o życiu jej głównego bohatera? „Rysiek to był wspaniały facet: reporter, podróżnik, pisarz, mąż, ojciec. Kochanek. Skomplikowany człowiek, żyjący w poplątanych czasach, w kilku epokach, w różnych światach”⁴.

Drugie dno. Tak naprawdę myślę, że cała dyskusja o Kapuścińskim jest dyskusją o Polsce, która zawsze wzbudza wiele emocji i kontrowersji. Nie mogę inaczej tego zrozumieć. Rozmawiając o nim, rozmawiamy o kraju przeorany przez dziesięciolecia pogmatwanych historii ludzi i środowisk. Stąd rodzą się nieporozumienia, ożywione komentarze i nicowane sądy. Wydaje się, że całe życie Kapuścińskiego jest tłem do historycznych wydarzeń w kraju nad Wisłą z jednej strony, by z drugiej stać się lustrem. Odbiciem ludzkich dróg od czasu uzyskania niepodległości w 1919 roku. Spierając się o niego, spieramy się o Polskę, o jej najnowszą historię, o interpretację lat powojennych: o to, kto po której stał stronie, kto jak się zachowywał i na ile kompromis jest także dziełem gwałciciela i oprawcy. Mogę sobie zadać pytanie, czy warto o tym jeszcze rozmawiać, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że się rozmawia. I chyba nie ma tutaj miejsca na obiektywizm (jeśli takowy w ogóle gdziekolwiek istnieje). Pytania o polskiego reportera są pytaniami o nasze wybory sprzed lat. Nie skończą się nawet wtedy, gdy już wszyscy odejdą. Choć można odnieść wrażenie, że dla wielu, już dziś, jest to jedynie retoryka i nic nie wnosząca paplanina między kilkoma obozami (lub barakami w jednym obozie...). Cały rwetes i szum (co widać, jak bruzdy na otwartej dłoni) dotyczy najnowszej historii Polski. Życie pisarza jest jej najlepszą ilustracją. Potem, z czasem, dłoń zaciska się w pięść, gdy polityczne zawieruchy miotają ludźmi, jak marionetkami.

Jest jeszcze jedno drugie dno. Wszystkimi prasowymi komentarzami, programami telewizyjnymi i audycjami radiowymi na naszych oczach pisze Ryszard Kapuściński swoją ostatnią książkę – swoją autobiografię. „Paradoksalnie, kiedy zmarł i już tego obrazu tworzyć nie może, on się tworzy samoczynnie, wynosząc Ryśka coraz wyżej i wyżej”⁵. Nie sposób nie odnieść wrażenia, że jego pióro ciągle kreśli kolejne zdania. Tym razem o samym sobie. Cała wrzawa ostatnich miesięcy, która tak naprawdę rozpoczęła się tuż po śmierci autora, jest jednym wielkim tomem opowia-

⁴Tamże, s. 13.

⁵Tamże, s. 522.

dań o nim samym – a takiej książki za życia nie napisał. Reportaże z życia. Kontrowersje, polemiki, wywiady ze znajomymi i przyjaciółmi, sprawy sądowe. Flesze. Półki pełne jego publikacji, które na naszych zdezorientowanych oczach wystukują kolejny rozdział za rozdziałem – bez poprawek. Z drugiej zaś strony to my sami tę książkę o nim piszemy. Każdy swoją: interpretując zasłyszane komentarze, akapity u Domoślowskiego, czy też po raz kolejny sięgając do opisów z jego reportaży. Widzimy więc, jak w kalejdoskopie, lata przedwojenne, gdy Pińsk nie należał do dzisiejszej Białorusi. Potem czasy wojny i okupacji, okres powojenny, który można podzielić na kilka etapów (zarówno jako życie w Polsce Ludowej, jak i cały kontekst pracy reporterskiej zagranicą). A potem czas po 1989 roku – z wszystkimi konsekwencjami wcześniejszych wyborów. Ironia losu jest okrutna. I tak, jak każda rewolucja w końcu swoje dzieci pożera, tak życie dopisuje kolejne rozdziały.

Coś jednak mnie oślepia. „O tak, byłem tam wtedy”⁶. Nie mogę nie odnieść wrażenia o czytelniczych pomyłkach wynikających z kurczowego trzymania się znaczenia, które przecież może być wielorakie. W bieżącej dyskusji aż nadto podnosi się wiele kwestii z biografii polskiego reportera, nie drążąc jakby sedna. Nie biorąc wcale pod uwagę, że nie wszystko, choć różne, musi się wykluczać.

Pińsk Kapuścińskiego, „miasteczko życzliwych ludzi i życzliwych ulic”, był mitem. Cudowną Arkadią, krainą lat dziecięcych, w której ludzie różnych religii i narodów żyją w pokoju i harmonii, której Kapuściński pragnął w dorosłym życiu dla Afryki, Ameryki Łacińskiej, wszystkich mieszkańców biednego Południa. Czy także składnikiem pisarskiej autokreacji? Mitologizacją, która spajała życiorys „tłumacza kultur”, jakim pragnął, by go widziano u kresu życia? I która wskazywała na źródła tej predyspozycji: oto człowiek dialogu i spotkania z Innym, który wielokulturowością oddycha od dziecka, ma ją niejako we krwi? Między Pińskiem z archiwum domowego: Pińskiem hycli, Pińskiem Polaków mordujących Żydów lub wydających ich Niemcom na śmierć a Pińskiem – sielską Arkadią z gawęd i wywiadów – roztacza się przepaść. Aż trudno nie spytać: czy te dwa wizerunki miasta lat dziecięcych dlatego właśnie, że tak odległe, sprzeczne, odpychające się nawzajem, nie złożyły się nigdy w zapowiadaną przez tyle lat książkę?⁷

Myślę sobie w obronie, że mogło być całkiem inaczej: że widząc te codzienne niesprawiedliwości i niesnaski (jeśli w ogóle je widział i zapamiętał), mały Rysio mógł zatęsknić do innych obrazów. Mógł pragnąć harmonii różnych narodów, gdy na co dzień widział waśnie. Szybko wyciągnął wnioski. Być może dlatego przez resztę życia, na każdym niemal

⁶Tamże, s. 249.

⁷Tamże, s. 31.

rogu ulicy, zdawał się mówić o Innym, jak o bracie, by wyprzeć obrazy z dzieciństwa, które w nim były. By zastąpić je marzeniem o szczęśliwym świecie. I wcale jedno nie wyklucza drugiego: mogło być i tak, i tak. Jako dziecko poznał skutki. Później, gdy dorósł i dojrzał, poszukiwał przyczyn. Na swój sposób walczył potem o inny świat, mając przed oczyma dziecięce potyczki – to one były siłą sprawczą. Pytaniem otwartym jest też dziecięcość wieku – czy był to mit? Ja do dziś swoje młodzieńcze podwórko ciągle widzę tylko w kolorach pastelowych, w sielskości sąsiadów i błogości wszystkich zdarzeń. Cóż z zarzutu, gdy dotyczy koloru lodów na patyku? Dla niego była to arkadia gawęd. Dzieci widzą świat w swoich barwach, a kolejne lata zaokrąglają wspomnienia – każdy to wie. Czy zresztą był tylko jeden Pińsk? – a jeśli niby tak, to jaką ręką dziś opisany, skatalogowany? Siedmioletnie dziecko ma prawo do swoich percepcji i jeśli tylko z tamtych lat mały Rysio zapamiętałby karuzelę – widać, że ona byłaby wtedy najważniejsza. Dla niego. Dla dziecka wszyscy są życzliwi. Dziś, po latach, sam nie pamiętam, co w dzieciństwie działo się trzy ulice od mojego rodzinnego domu. Raczej była właśnie arkadia. Nikt do nikogo nie strzelał. Jeśli więc potem nastaje wojna i większy już Rysiek słyszy strzały, to tym bardziej dzieciństwo było przeszczęśliwe. To żaden mit. To jego prawda. Utwór muzyczny umiemy zagrać na kilka sposobów. Czasem wydarzenie ma różne interpretacje – podobnie może jest i w tym wypadku. A może opisy „trzęcie” są zbyt pesymistyczne, stąd dysonans i dysproporcje w relacjach? Zawsze najgorsze były te lekcje, gdy nauczyciel, czytając jakiś fragment poezji lub prozy, kazał wymyślać, co autor miał na myśli – do licha!

Dezokracja daje możliwość dekonstrukcji, otwiera drzwi do demontażu wszystkich znaczeń. Czasem deprecjonuje, może kogoś zdemoralizować, wielu ludziom demolując świat. Dezokracja dekoduje sensory. W takich oto żyjemy czasach. Ktoś powie, że to degrengolada, ktoś inny, że dezercja od raz ustalonych znaczeń. Widać jednak wyraźnie, że słowa nie znaczą zawsze tego samego. Są metafory i frazeologie. Język nie kołkiem w gardle stoi. Nieodparte jest we mnie więc wrażenie, że *Inny* nie jest kompletnie rozumiany – w całej potwornej ironii sytuacji, gdy właśnie *Innym* staje się Ryszard Kapuściński. Nakłada się *Innemu-Kapuścińskiemu* szaty Saidowskiego *Orientalizmu* w tym sensie, zapominając niejako przy okazji, że to on przez dziesięciolecia Saida tłumaczył. Choć paradoksalnie Edward Said miał swoje dzieło przedstawić dopiero w 1978 roku. Czasy dezokracji nie są więc mrzonką, choć o de-globalizacji niewiele i dziś się jeszcze słyszy. „W czasach tużpokolonialnych wszędzie w Afryce można się było dogadać po angielsku i francusku; dziś w wielu miejscach tego kontynentu, poza wielkimi metropoliami, trzeba znać lokalne języki, żeby się porozumieć. To jeden ze znaków de-globalizacji, którą dostrzegł,

a wielu zachodnich myślicieli – nie”⁸. Kapuściński był dezokratyczny na wskroś, rozmontowując na naszych oczach wielokroć znaczeń, a i na demontaż politycznych struktur świata od początku wskazując. Bowiem wielbłąd ma garby, czy może karby?

– Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Afryce – opowiada Izabella Nowak – dał nam do przeczytania jakiś swój tekst o zamieszkach w Dar es-Salaam. Afrykańczycy pobili białych, na miejscu zajścia był mój mąż, więc wiedzieliśmy dokładnie, gdzie i jak dokładnie zdarzenie przebiegało. Zwróciłam uwagę Ryškowi, że myli szczegóły, bo bójka miała miejsce na innej ulicy, w innych okolicznościach. Krzyknął na mnie:– Nic nie rozumiesz! Ja nie piszę, żeby się w szczegółach zgadzało, chodzi o istotę rzeczy!⁹

A jakie to ma znaczenie, jak nazywała się ta ulica i z którą inną się krzyżowała? A może to nie był róg ulicy, tylko łuk? A może plac, albo placyk? Znaczenie topograficzne ważne jest dla karetki pogotowia, by przyjechała opatrzeć rany poszkodowanych, ale w opisach słanych z krańców Ziemi nie ma znaczenia. Czy temperatura powietrza miała w cieniu 42 stopnie, albo 44? – istotne jest, że było piekielnie gorąco. Przecież biblijny Adam nie żył osiemset lat, a po prostu bardzo długo. Piesek Hajle Sellasje mógł obsikać (raz czy dwa) sandały dworzan i gości. Nie ma to kompletnie znaczenia – nawet w kontekście kolejnego pytania: gdzie książki Kapuścińskiego stawiać – na półce z dziennikarstwem, czy może ze światowym pisarstwem?¹⁰

Czasem mam ochotę dać komuś po ryju i mordzie. Sprawiedliwie lub nie. „Dziennikarkę, która umówiła się z nim na rozmowę o poezji, a po raz trzeci, mimo protestów, zadała mu pytanie »czy może pan opowiedzieć o własnym dzieciństwie?«, zwyczajnie wyprosił z pokoju”¹¹. Czyż w naszym życiu nie ma sytuacji granicznych, gdy miarka się przebierze, a mleko rozleje? Któż z wielkich był jednoznaczny i zawsze wiedział, którą drogą ma iść? Komu chwile słabości się nie zdarzyły – a z drugiej strony: chwilę słabości w powyższym zdaniu miał Kapuściński, czy może namolna, nad wyraz, dziennikarka?

Teraz gdy przesiaduję w jego domowym archiwum, w bibliotekach i archiwach, gdy jeżdżę jego śladami po Afryce, Ameryce Łacińskiej, a przede wszystkim gdy rozmawiam z przyjaciółmi, znajomymi, ludźmi, którzy byli świadkami różnych epizodów jego życia, odkrywam Kapuścińskiego, jakiego znałem słabo, a często wcale. Czy ktoś, kto go kiedykolwiek widział, słuchał, spotkał uwierzyłby, że ten

⁸ Tamże, s. 471.

⁹ Tamże, s. 425.

¹⁰ Tamże, s. 437.

¹¹ R. Kapuściński, *Dalem głos ubogim*, Kraków 2008, s. 86.

łagodny, uśmiechnięty zawsze mężczyzna złapał kiedyś za fraki pewnego urzędnika, przyparł do ściany i wykrzyczał w szarpaninie: – Jak śmiesz, ty skurwysynu!¹²

A nawet jeśli z kimś chwycił się za bary? Może czasem komuś przyłał? A komu udało się przez pięćdziesiąt lat utrzymać język na wodzy, nie powiedzieć innemu kilku przykrych słów (zasłużenie lub nie)? Emocje targają wszystkimi, wywołując różne skutki. Był Kapuściński człowiekiem z krwi i kości. Realnym mężczyzną, który podróżując po świecie, z pewnością spotykał się z niejedną ciekawą kobietą – a jeśli to kogoś dziwi, to problem tkwi raczej w zdziwieniu, a nie w spotkanej kobiecie. Obłudą byłoby chyba myśleć inaczej. Czy jednak te opisane epizody zmieniają obraz Kapuścińskiego w moich oczach? – nie. A jeśli by ich brakowało, czy ucierpiałaby sześciuset stronicowa biografia? – także nie. Jeżeli jednak żyją świadkowie i towarzysze doli i niedoli, kamraci na dobre i złe – to czy warto, w obliczu żyjących, powoływać anonimowe źródła? – także chyba nie. Na doli i niedoli względ. „Wiesz, w życiu pisarza przychodzi taki moment, w którym najcenniejszymi kochankami są jego własne książki”¹³.

Nie jest tajemnicą, że pisanie przychodziło Kapuścińskiemu bardzo trudno. Męczył się godzinami nad białą kartką papieru, by napisać kilka zaledwie zdań. „Tyle dni straconych na napisanie jednej strony. Spędzam przy moim stole siedem do ośmiu godzin, lecz z tego potrafię efektywnie pracować zaledwie trzy czy cztery godziny. W pozostałych godzinach przepisuję, marzę, czytam”¹⁴. Takich fragmentów jest wiele. Nawet jakby za wiele. „A pisał powoli, pisanie było dla niego mordęgą”¹⁵. I znów, niejako w obronie, wydają się one być kluczem do zrozumienia kilku innych kwestii, które przewijają się w wielu zasłyszanych lub przeczytanych komentarzach miesięcy minionych. „Czy właśnie dlatego, że może zostać publicznie napiętnowany za współpracę z wywiadem Polski Ludowej, jest w ostatnich latach życia pełen obaw, zbyt często smutny, przybity, jak na człowieka, który odniósł tak wielki sukces w kraju i na świecie?”¹⁶ Jego niemożność pisania (takiego, jakiego najbardziej by chciał), wiąże się, w moich oczach, z postawą przygaszenia, o której w wielu miejscach pisze zarówno Domosławski, jak i można o niej usłyszeć od ludzi, którzy Kapuścińskiego znali osobiście. Oba przykłady nie wykluczają się. Raczej uzupełniają – a prozatorsko nazwałbym je garbem. Niósł chyba zbyt wiele, jak na jednego człowieka, który w świat wyruszył z dalekiego i biednego Pińska. Jeśli cedził słowa, to dlatego, że znał ich ciężar.

¹² A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, s. 13.

¹³ Tamże, s. 345.

¹⁴ Tamże, s. 551.

¹⁵ Tamże, s. 407.

¹⁶ Tamże, s. 521.

Wiedział najlepiej, co kryje się za ich wypowiedzianym dźwiękiem lub zapisanym kształtem. On wiedział z widzenia – i być może całe jego doświadczenie skutkowało w późniejszym czasie unikaniem tak często jałowych (w jego oczach) dyskusji. „Jak widzi, że ktoś gada głupstwa, nie ciągnie rozmowy”¹⁷. Dla niego rzeka nie musiał być z wodą. Stołem mogła być ziemia, a dom w afrykańskich reminiscencjach wyglądał całkiem inaczej. Jeśli jadł, musiał myśleć o biedzie i głodzie. Jeśli lał deszcz w Warszawie, to musiał widzieć paralełę pory deszczowej. Jeśli kupował buty – z pewnością widział bosych. To się wie podskórnice. Cała trauma licznych podróży musi skutkować zacięciem, powściągliwością, dystansem i zatrzymaniem. Jeśli zaś później nałoży się na takie zachowania autentyczną i prawdziwą postawę ideową (w tym wypadku socjalistyczno-komunistyczną), wtedy nie sposób chyba zachowywać się inaczej. I z pewnością problem nie leży w przywoływanych tzw. „strasznych facetach”¹⁸ – to była gra, bo Kapuściński sam musiał być dokładnie wiedzieć i pamiętać, że cały komunizm przez dziesięciolecia był jednym wielkim *straszonym facetem*. Gdy więc w całym szerokim kontekście przyjdzie mu później zmierzyć się z upadkiem światopoglądu, w który wierzył i który wyznawał, to milczenie i wycofanie wydaje się być najlepszą z możliwych postaw. Garb wiedzy o świecie (dostępny tylko nielicznym) nie pozwalał mu, jak się wydaje, ani spokojnie spać, ani chodzić wyprostowanym. Dziś bardzo łatwo takie zachowania komentować, nadając im przeróżnych znaczeń. Gdy sam mawiał, że do napisania jednej książki potrzebna jest wnikliwa lektura stu innych, mógłbym dodać od siebie: żeby zbliżyć się do zrozumienia Kapuścińskiego, trzeba byłoby zestawić go ze stu innymi reporterami podróży.

Jednak moje przemyślenie idzie jeszcze w jednym, innym kierunku. I nie sposób mi o tym milczeć, choć przyłączenie się do grupy krytyków Ryszarda Kapuścińskiego dla wielu dziś przychodzi bardzo łatwo. Jednak owi często z krajów afrykańskich odwiedzili tylko Egipt, prażąc się na leżakach, w letnim słońcu wypoczynkowej Hurgady. A rzecz jest w zasadzie, w samej immanencji postawy. I znów chodzi o porządk: na ile nagrodzone może być świadome pomieszenie dwóch stanów? Czy dysonans nie jest zbyt duży, gdy korzystając z pracy zawodowej, możliwości służbowych wyjazdów i apanaży władzy, kreśli się własne przemyślenia na nie swoim papierze? A papier ten, jak pokazała historia, wszedł w posiadanie pracodawców na mocy kredytu. Trudność w ujęciu jest widoczna – może i tak ma być?, choć dla mnie zbyt to uproszczenie i łatwe wytłumaczenie. Żadną miarą sztuki jest Hurgada w ramach wczasów fundowanych przez urząd miejski (tego lub innego miasteczka), albo dawny FWP. Jeśli król chce pisać książki, niech przestanie być królem. Nie bez kozery, jak się wydaje, przemyślenia pierwszych mini-

¹⁷ Tamże, s. 446.

¹⁸ Tamże, s. 495.

strów i prezydentów ukazują się dopiero po złożeniu przez nich urzędu. Podobnych analogii tli się wiele. Mimo całego wkładanego przez Kapuścińskiego w wyprawę wysiłku – jest to praca zawodowa i zarobkowa, a nie twórczość wynikająca z powzięcia osobistego ryzyka. Sam zapłacił – sam przeżyjesz. Za wszystko i wszystko. Na własny rachunek i własne ryzyko. Na własną stratę: zdrowia, pieniędzy czy rodziny. Na własną śmierć. Krupierzy nie grają. Tło więc nie jest jednoznaczne. Tym bardziej, gdy zestawić je można z innymi drogami i biografiami. Nie ma etatu pisarza. Być może, w tym wypadku, cel niech uświęci środki. Nie wiem. Dla wyższej konieczności może oko warto przymknąć. Nie wiem. Ale „pełnosprawni” nie startują na olimpiadzie dla „niepełnosprawnych”, a ksiądz niech nie ubiega się o tytuł „męża zaufania” i mandat radnego. Czy taksówkarz dostanie medal za dwudziestokrotne z klientami okrążenie Ziemi?

„Jest szczególnego rodzaju pesymistą: cokolwiek by się działo, i tak trzeba działać, robić swoje”¹⁹. „Potrafi wybuchnąć o byle co. Zmieszać z błotem szatniarkę, która zbyt wolno podaje płaszcz w Klubie Księgarza”²⁰. „Był zamknięty, mało się o nim wiedziało. Nigdy nie opowiadał o życiu rodzinnym (...), spokojny, zawsze z boku, nieagresywny”²¹. „Wie, że przez konflikt niczego się nie wskóra, zawsze łagodzi kanty, układa się z szefami, w ogóle unika konfrontacji z ludźmi”²². „Rysiek uwodził kobiety, uwodził mężczyzn, uwodził starców i uwodził dzieci”²³. „Ciągle na coś umierał, narzekał, a potem i tak brał walizkę i jechał w świat”²⁴. „Nie miał wyczucia groteskowości sytuacji ani poczucia humoru na własny temat”²⁵. „Potrzebował poczucia przynależności do środowiska. Był zazwyczaj osobny w myśleniu”²⁶. „Był odkrywczy, oryginalny tam, gdzie osobiście dotknął innej ziemi, powąchał nieznaną rzeczywistość; tam, gdzie się zmęczył i spociał”²⁷. „Umie naprawić wszystko. Jest męski do kwadratu (...), uwielbia też rajdowe okulary, rękawiczki. (...) Umie zasnąć w każdych warunkach, przechwała się, że inaczej niż większość intelektualistów nie markuje po nocach; kładzie się wcześniej i wcześniej wstaje”²⁸. „Przez długie lata nosił w sobie kompleks niedouczzonego prowincjusza, który niewiele wyniósł z domu i wszystkiego musi dopiąć

¹⁹ Tamże, s. 443.

²⁰ Tamże, s. 557.

²¹ Tamże, s. 152.

²² Tamże, s. 446.

²³ Tamże, s. 449.

²⁴ Tamże, s. 453.

²⁵ Tamże, s. 375.

²⁶ Tamże, s. 466.

²⁷ Tamże, s. 476.

²⁸ Tamże, s. 187.

własną harówką”²⁹. „Wykazywał cierpliwość w słuchaniu możliwych”³⁰. „Wiedział wiele, bardzo wiele o świecie, o innych ludziach, a o sobie wiedział mało. Nie znał siebie”³¹.

Jeszcze długo można by wymieniać, cytować i zakreślać kolejne fragmenty. Pytanie o to, czy Kapuściński był myślicielem³², wydaje się być jedynie zakurzona półką między jego licznymi książkami. Jedno ze starych powiedzeń mówi, że zanim nazwiemy kogoś kłamcą, trzeba pozamykać wszystkie drzwi okna. Dziś łatwo się komentuje, a i o sądy nie trudno. Dezokracja nie jeden pomnik w spiżu ryty obala: deheroizując pewnie na szczęście. Jednak dopiero później, po latach, gdy coś ciężkiego spadło mi w domu na szybę od stolika – ta nie pękła, bo była hartowana...

²⁹ Tamże, s. 35.

³⁰ Tamże, s. 227.

³¹ Tamże, s. 460.

³² Tamże, s. 470.